

MIROSŁAWA  
KARETA

# TECZKA

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2017  
© Mirosława Kareta-Gala, 2017

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka  
Redakcja: Lidia Kośka  
Korekta: Dariusz Godoś  
Projekt okładki: Izabella Marcinowska  
fot. © CollaborationJS / Arcangel Images,  
Velishchuk Yevhen, Masson / Shutterstock  
Skład: Lucyna Sterczewska

Postaci i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne.  
Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób  
lub zdarzeń jest przypadkowe i niezamierzone.

ISBN 978-83-277-1484-8

WYDAWNICTWO WAM  
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków  
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003  
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY  
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496  
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA  
tel. 12 62 93 260  
www.wydawnictwowam.pl

druk: Grafarti • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book white 70 g wol. 2.0  
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

~ I ~



– Od samego początku przeczuwałam, że to nie jest dobra miłość. Ale co innego przeczuwać, nawet wiedzieć, a co innego... zrezygnować.

Teraz, po latach, mogę już o tym spokojnie mówić. Nie boję się ocen. Wiem, co zrobiłam, i zdaję sobie sprawę, że nie da się tego wymazać. Z całym bagażem przejdę na drugą stronę. Już się nie mogę doczekać, kiedy ją tam spotkam! Bo to była dziewczynka, jestem pewna...

Uśmiecha się pan? Ja też nie mogę powstrzymać uśmiechu, kiedy o niej myślę. Ale kiedy przypominę sobie, co się wtedy zdarzyło... mnie, taką młodą i głupią, tak bardzo zapatrzoną w siebie... i tych dwóch mężczyzn... czuję gniew. Bo to, co się potem stało, było takie niesprawiedliwe!

Zawsze kierowałam się dewizą, by brać z życia jak najwięcej. Zbyt krótkie jest i zbyt wiele ma do zaoferowania, żeby się wahać. Dopiero na starość zrozumiałam, że jest też druga zasada, równie ważna. I tylko dzięki niej można być naprawdę szczęśliwym. A brzmi ona: brać z życia jak najwięcej, ale tak, żeby nikogo przy tym nie skrzywdzić.

Ja już zostałam ukarana. Nie ma dnia, żebym o tym nie myślała. Nie ma modlitw, których bym nie zmówiła z prośbą o odpuszczenie grzechów. A pokuta? Całe moje późniejsze życie było pokutą...



Słowa snuły się w powietrzu wypełnionym zapachem perfum i kurzu, wirowały, obijały się o krawędzie eleganckich mebli i opadały na gruby perski dywan, zanim zdążył je złowić. To miała być długa i wyczerpująca opowieść. Wyczerpująca zwłaszcza dla słuchacza.

Maksymilian Petrycy westchnął i spojrzał w okno. Dużo by teraz dał, by być tam, na zewnątrz, spacerować po rozświetlonych wiosennym słońcem ulicach i oddychać atmosferą jednej z najpiękniejszych europejskich stolic. Był tu już kiedyś w podróży służbowej, ale w pośpiechu nie zdążył nacieszyć się urokami miasta, tak bardzo zawsze gościnnego dla Polaków. Jego obecny pobyt także miał być krótki. Musiał zdobyć odpowiedzi na kilka bardzo istotnych pytań. Ale na razie nie miał okazji ich zadać. Nie dopuściła go do słowa.

– Nuży to pana? Nie? Wygląda pan na zmęczonego...

Miała już chyba osiemdziesiątkę, ale sprawiała wrażenie młodszej. Szczupła, żyłasta, z potarganą artystycznie fryzurą. Mówiła z ledwie wyczuwalnym obcym akcentem, który dodawał jej elegancji. Paliła cieniutkie papierosy w czarnej lufce, co upodabniało ją do gwiazdy ze starego filmu. A jej jedwabny peniuar, gdy teatralnym gestem rozkładała ręce, przypominał mieniące się kolorami tęczy skrzydła motyla.

– Nie, nie, ależ skąd! – zaprzeczył szybko doktor, choć po bezsennej nocy, spędzonej w autokarze, ledwo był w stanie utrzymać powieki w górze.

– To dobrze. Bo nie chciałam się ograniczać. Nigdy tego nie lubiałam...

Petrycy uśmiechnął się uprzejmie. Nie chciał drażnić tej damy. Miała w swoim posiadaniu coś, na czym mu ogromnie zależało. Znała też odpowiedzi na wiele dręczących go pytań. Postanowił uzbroić się w cierpliwość i wysłuchać do końca opowieści, która – jak się właśnie okazało – miała być spowiedzią z całego jej życia.

Dużo poświęcił, żeby tu przyjechać. Pozostawił za sobą wiele otwartych spraw. W Krakowie rada miasta, której był członkiem, dyskutowała właśnie nad budżetem. Żona, w piątym miesiącu ciąży, miała się dziś zgłosić do szpitala i poddać ryzykownemu zabiegowi. Wybryk najmłodszego syna sprawił, że groziło im wszczęcie postępowania w sądzie rodzinnym, a starsza córka planowała popełnić kolejne głupstwo, którego doktor jeszcze nie zdążył wybić jej z głowy!

Wrócił myślami do początku roku, do tego styczniowego dnia, gdy Marysia powiedziała mu, że spodziewają się dziecka. Wiadomość była tak zaskakująca, że Petrycy przez długie godziny nie mógł dojść do siebie. Zupełnie zlekceważył wtedy to, co się zdarzyło niemal równocześnie – telefon, obcy głos w słuchawce i absurdalną propozycję, którą mu złożył nieznany rozmówca. Początek całego łańcucha wydarzeń, które doprowadziły go tu, do tego pięknego, choć trochę zaniedbanego mieszkania i do jego ekscentrycznej właścicielki...

Słowa starej damy wsiąkały w bordową wełnę, z której utkany był dywan. Doktorowi kleiły się oczy. Wydawało się, że nigdy już nie przejdą do interesującego go tematu.

„Co ja tu właściwie robię?” – pytał siebie w myślach, obserwując promienie słońca przenikające przez przykurzone

szyby w pociętym na mniejsze kwatery oknie. Światło załamywało się finezyjnie, tworząc na parapecie miniaturową tęczę. Przypominało mu to obraz Marca Chagalla, którego tytułu nie pamiętał.

„Brakuje tylko kota...” – stwierdził.

I wtedy powiedziała coś, co go momentalnie otrzeźwiło. Szeroko otworzył oczy, przez chwilę spoglądał na nią z niedowierzaniem. To nie mogła być prawda!

Kraków, wtorek, 21 stycznia 1992

Dochodziła piąta po południu, zrobiło się ciemno. Oświetlenie w budce oczywiście nie działało – w mdłym blasku ulicznych latarni ledwie widział numer telefonu, zapisany długopisem na kartce w kratkę. Klnąc, nałożył okulary i powoli, ze słuchawką przyciśniętą ramieniem do brody i kartką przy nosie, wykręcił sześć cyfr. Po krótkiej chwili ktoś odebrał. Spodziewając się, że rozmowa nie potrwa długo, wrzucił do aparatu tylko jeden żeton.

– Pan Petrycy? – zapytał, nie przedstawiając się, a gdy usłyszał potwierdzenie, bez wstępów przeszedł do rzeczy: – Mam do sprzedania teczkę pana ojca. Tego przybranego, Benedykta. Od razu mówię, że jest też inny kupiec i sporo mi za te dokumenty oferuje. Ale panu należy się pierwszeństwo...

Po drugiej stronie przewodu panowała cisza.

– Zwariował pan?! – usłyszał wreszcie wzburzony głos.

– Niech się pan dobrze zastanowi! Te dokumenty są na wagę złota – mówił szybko, bo trafnie przeczuwał, co zaraz

nastąpi. – Nie będę się targował, wystarczy, że zapłaci pan tyle, ile daje tamten.

– Do widzenia! – ciągły sygnał w słuchawce oznaczał, że rozmowa została przerwana.

Ściągnął okulary i wraz z karteczką wepchnął je do kieszeni kurtki. Przez długie lata swojej zawodowej pracy przyzwyczaił się do rzucania słuchawką, mamrotanych pod nosem inwektyw oraz spojrzeń pełnych pogardy. Niewiele sobie z nich robił. Nawet teraz, choć czasy się zmieniły, wiedział, że i tak jest górą. Wystarczy rozpocząć grę, a sami do niego przyjdą.



Doktor Petrycy przez chwilę bez słowa wpatrywał się w aparat.

– Kto to? – zaniepokoiła się Marysia.

– Jakiś wariat – mruknął, przygarniając ją ramieniem.

Ciągle jeszcze nie mógł się otrząsnąć po usłyszeniu nowiny, którą mu dziś przekazała. Nadal był oszołomiony i sam nie wiedział, czy bardziej się cieszy, czy lęka.

Oczy Marysi błyszczały w półmroku, wyczuwała jego niepokój.

– Poradźmy sobie – powiedziała cicho. Głos miała jednak schrypnięty, a dłoń, którą wyjęła spod koca, by ucisnąć jego rękę, była zimna.

– Oczywiście – szepnął, a potem nachylił się i kilka razy delikatnie pocałował jej palce. – Jaki smak miałoby życie, gdyby nam ciągle nie sprawiało niespodzianek?

Uśmiechnęła się i trochę odprężyła. Objęli się mocniej i zapatrzyli w okna, za którymi w blasku świetlówek padały na ziemię grube płatki śniegu.

Doktor zapomniał już o telefonie i dziwnej propozycji nieznanego rozmówcy. Myślał tylko o tym, co im niesie przyszłość, i czuł, jak powoli rosną w nim radość i nadzieja.



Emocje nie pozwoliły mu zasnąć do późna w noc. Cieszył się, to prawda, ale miał też mnóstwo wątpliwości. Nie byli już w końcu najmłodsi! Doktor miał lat czterdzieści sześć, jego żona o trzy mniej. Kiedy ich dziecko pójdzie do szkoły, oboje będą już po pięćdziesiątce! Maksymilianowi zdarzało się bywać na przedstawieniach szkolnych swoich starszych dzieci. Gdy widział na sali osoby w takim wieku, nigdy nie potrafił ocenić, czy są to rodzice, czy dziadkowie. A teraz sam miał zostać takim dojrzałym ojcem.

„Czy nam starczy sił? Czy nasze dziecko będzie gotowe na podjęcie samodzielnego życia, kiedy... być może... nas zabraknie?”

Te myśli, szczególnie dotkliwe w nocnej ciszy, sprawiły, że długo przewracał się z boku na bok, wreszcie – by nie zbudzić śpiącej Marysi – wstał ostrożnie z łóżka, przeszedł do dużego pokoju i stanął przy oknie. Śnieg przestał padać i na czarnym niebie pojawiły się migotliwe punkciki gwiazd. Gruba biała pierzyna, pokrywająca Błonia, aleję Focha i chodnik, iskrzyła się w świetle ulicznych latarni. Krajobraz był iście bajkowy.

Doktor spoglądał w zachwycie na ten wyjątkowy fragment Krakowa, który – ot tak, zupełnie za darmo – miał na własność. Nie mógł tam wprowadzić ani nic zbudować, ani posadzić, a jednak w jakimś stopniu czuł się współwłaścicielem tej wielkiej łąki, która rozpościerała się przed jego oknami. Tak rozległa, ogólnodostępna zielona przestrzeń w centrum miasta była fenomenem na skalę europejską. I pomyśleć, że pojawiły się już zakusy, by Błonia zabudować!

Na samo wspomnienie tego pomysłu aż pokręcił głową. Nigdy by nie uwierzył, że ktoś może wystąpić z taką propozycją. A jednak! Znaleźli się ludzie, którzy to wymyślili, a także inni, gotowi wydać na to zgodę. Gdyby się im udało, w trójkącie pomiędzy Muzeum Narodowym a stadionem Cracovii stałby już dzisiaj pierwszy w Krakowie hipermarket! Kampania na rzecz ochrony tego miejsca była jednym z większych sukcesów Petrycego w nowo utworzonym samorządzie miejskim.

Uśmiechnął się mimowolnie, wspominając okres, gdy działalność publiczna sprawiała mu rzeczywistą radość. Był wówczas wiceprzewodniczącym rady miasta i wydawało mu się, że stoi u wrót błyskotliwej politycznej kariery. Niestety, ujawnienie w prasie faktu, że jego biologicznym ojcem jest Niemiec, urzędnik przybyły do Krakowa w ślad za hitlerowską armią, mocno zachwiało pozycją Petrycego, przyczyniając się do utraty przez niego stanowiska w samorządzie oraz do jego przegranej w pierwszych w pełni wolnych wyborach do Sejmu. Doktor ciężko to przeżył, jednak zdołał w końcu przewyciężyć złą passę. Od chwili, gdy dwa miesiące temu

wstąpił w szeregi Unii Demokratycznej, znowu mu się wiodło. Został doceniony, jego nazwisko wymieniano nawet w kontekście obsady resortu zdrowia w przyszłym rządzie. Oczywiście były to na razie odległe plany, nowo sformowany gabinet Jana Olszewskiego dopiero zaczynał pracę, ale rokowania co do jego przyszłości były ponure. By przetrwać, musiałby znacznie poszerzyć swoje zaplecze polityczne w rozbitym i mocno skłóconym Sejmie, a zatem dopuścić do składu przedstawicieli innych partii. Rozmowy na ten temat ciągnęły się praktycznie od chwili jego powstania i Maksymilian coraz poważniej liczył się z koniecznością wyprowadzki do Warszawy.

Ta myśl od kilku dni przygniatała go dziwnym ciężarem. Choć sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać, perspektywa opuszczenia rodzinnego gniazda była dla niego bolesna. Tyle wspomnień wiązało się z tym miejscem! Tu, w murach wzniesionych w latach trzydziestych przez Benedykta Petrycego, Maksymilian spędził całe swoje życie. Tu przyszły na świat jego dzieci i wydawało mu się zawsze, że tu właśnie doczeka się wnuków. A jednak doktor czuł, że przyszedł czas na zmiany. Nie chciał ulegać sentymentom, uważał, że trzeba patrzeć w przyszłość i odważnie odpowiadać na wyzwania, które niesie życie. Jeśli los pcha go do stolicy...

Próbował już na ten temat porozmawiać z żoną, ale spotkał się z jej kategorycznym sprzeciwem. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że ich sytuacja rodzinna ma się niebawem zmienić. Przeżywali kryzys i dali się ponieść emocjom, zamiast do argumentów, odwołując się do krzyków i trzaskania drzwiami. Teraz okoliczności się zmieniły. Doktor rozumiał, że przy

kolejnej próbie poruszenia spornej kwestii będzie się musiał wykazać nie tylko rozsądkiem, ale też taktem i empatią.

Westchnął i oparł się oburącz o drewniany parapet. Wionęło spod niego chłodem. Farba olejna, którą był pomalowany, łuszczyła się już w kilku miejscach, a przez środek biegło pęknięcie. Dom, pamiętający przedwojenne lata, wymagał remontu. Marysia wspominała o tym już od dawna, ale zawsze były pilniejsze sprawy do załatwienia i niecierpiące zwłoki wydatki.

Coś miękkiego i puszystego otarło się Maksymilianowi o nogawki pizamy. Pochylił się i pogłaskał wypielęgnowane, błyszczące futro Flapa. Kocur, choć spasiony, nie był nigdy ociężały – gdy chciał, poruszał się cicho i zwinnie. Teraz też nadciągnął niepostrzeżenie, a gdy pieszczota doktora wydała mu się niewystarczająca, odbił się łapami od podłogi i jednym potężnym susem wylądował na parapecie. Z jego gardła wydobywało się jednostajne, terkotliwe mruczenie.

– Ty też nie możesz spać?

Dachowiec otarł się zalotnie o Maksymiliana i przeparał przez parapet, depcząc po jego drugiej ręce. Łapy kota były zimne.

„A! Marzniemy!” – domyślił się Petrycy.

Od czasu gdy ostatni raz dorzucił do pieca centralnego ogrzewania, minęło kilka godzin. Choć dopiero zbliżała się północ, kaloryfery były zaledwie letnie. Doktor przytulił kota, z zamiarem zabrania go ze sobą do sypialni, gdy nagle jakiś ruch za oknem przykuł jego uwagę. Zmrużył oczy. Przez nieruchomy zimowy krajobraz, w wysokim śniegu brnął w stronę willi Petrycych chłopak z gołą głową i rękami

wbitymi głęboko w kieszenie kurtki. Nie było wątpliwości kto to, choć długie włosy już jakiś czas temu zostały przycięte w dużo bardziej estetyczną fryzurę na jeża.

Maksymilian pokiwał głową i – wbrew wcześniejszym swoim zamiarom – od okna nie odszedł. Chciał koniecznie zobaczyć, co robi młodzieniec. Z kotem przytulonym do piersi cofnął się o krok i przywarł do ściany, by mieć oko na ulicę, a samemu pozostać w ukryciu.

Tomek Podróżnik, ukochany Ani, podszedł do ogrodzenia, zostawiając za sobą wydeptany w świeżym puchu ślad. Rozejrzał się wokół, po czym wspiął na podmurówkę i zgrabnie pokonał wysoką siatkę, która miała gwarantować mieszkańcom tego domu prywatność i poczucie bezpieczeństwa. Doktorowi, choć tego właśnie się spodziewał, na widok takiej bezczelności ciśnienie skoczyło i mimowolnie zacisnął dłonie na futrze czworonoga. Flap wrzasnął przeraźliwie i wyrwał mu się, zostawiając na nadgarstku ślady ostrych pazurów. Młodzieniec zaś, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że jest obserwowany i wzbudza takie emocje, ustawił się w ogródku naprzeciw frontowych okien, zagarnął trochę śnieżnego puchu i ulepił z niego kulę. Petrycy aż przymknął oczy, gdy gruda – choć z wyglądu dość miękka – poszybowała w stronę okna na parterze.

W ciągu ostatnich tygodni Maksymilian zaakceptował fakt, że jego córka związała się z człowiekiem, który nie do końca odpowiadał jego wyobrażeniom o idealnym zięciu. Z początku nie znosił tego chłopaka, zawsze jakby bujającego w obłokach, obnoszącego się z gitarą i kolczykiem w uchu. Gdy jesienią ubiegłego roku Ania z nim zerwała, doktor szczerze

się ucieszył. Zaraz potem jednak – w samą Wigilię – dziewczyna oświadczyła, że spodziewa się z nim dziecka. To spowodowało, że Petrycy musiał generalnie zrewidować swój stosunek do młodzieńca, co nie było procesem ani łatwym, ani szybkim.

Teraz – choć bardzo go korciło, żeby otworzyć okno i powiedzieć smarkaczowi, co myśli o przełożeniu przez płot i rzucaniu śniegiem w okna – doktor z wielkim wysiłkiem powstrzymywał się od ingerencji. Jego córka, być może pod wpływem hormonów ciążowych, zachowywała się od pewnego czasu w sposób tak humorzasty i przekorny, że Petrycy doszedł do wniosku, że łatwiej mu się będzie porozumieć z Tomkiem. I zrobił to. Jak mu się zdawało, nawiązał z chłopakiem iście ojcowskie relacje. Nadal był z tego dumny, choć jego interwencja – mająca na celu doprowadzenie do ślubu tych dwojga – wywołała skutek zgoła odwrotny. Poprzedniego wieczoru, jak się doktor dowiedział przez telefon od wzburzonego Tomka, Ania definitywnie z nim zerwała.

Teraz jednak młodzieniec stał na mrozie przed oknem dziewczyny i dobijał się do środka. Czyżby więc nadal istniała nadzieja? Doktor nagle pomyślał ze zgrozą, że stukanie śnieżek może obudzić ciotkę Pelagię, goszczącą u Petrycy z wizytą sędziwą damę z Anglii, i że to ona – a nie Ania! – wstanie, by powitać przybysza. Niepewność Maksymiliana, który tym razem mocno ścisnął kciuki za powodzenie młodego człowieka, trwała jednak krótko. Uśmiech, który pojawił się na twarzy Tomka, nie pozostawiał żadnych wątpliwości, kogo zobaczył w oknie. Chłopak zrobił kilka szybkich

kroków i zniknął sprzed oczu doktora. Oczywiście – jak zwykle! – w celu wejścia do domu nie użył drzwi...

„Mam nadzieję, że nie zapomnę zetrzeć śniegu z parkietu!” – pomyślał jeszcze Maksymilian Petrycy.

Poprawił firankę i po cichu – by skrzypiąca podłoga nie zdradziła tym na dole jego obecności – ruszył w stronę sypialni. Nagle strasznie zapragnął przytulić się do żony.



Ania długie godziny wierciła się na pluszowej sofie, na której sypiała w czasie wizyty Pelagii. Jak księżniczka na ziarnku grochu czuła każdą sprężynę wbijającą się jej w plecy. Z ulgą – i wstydem – pomyślała, że wyjazd starej damy będzie miał niewątpliwie jedną dobrą stronę: ciotka zwolni jej wygodne, obszerne łóżko babci.

Ciche stuknięcia i szelest sprawiły, że uniosła głowę. Przez chwilę nasłuchiwała, pełna napięcia. Nie, nie mogła się mylić! Wyskoczyła z łóżka, otworzyła okno i znalazła się twarzą w twarz z Tomkiem, który już podciągał się na parapecie. Nie miał ani czapki, ani rękawiczek.

– Musiałem przyjść! – powiedział.

Długą chwilę stali przytuleni, podczas gdy do pokoju ciągnęło lodowate powietrze. Wreszcie oprzytomnieli. Zamknęła okno, Tomek ściągnął buty, pod którymi utworzyła się na parkiecie mokra plama. Żadne z nich nie zwróciło na to uwagi.

– Nie mówiłaś tego poważnie! – odezwał się, gdy już usiedli na sofie, przykrywając się kołdrą aż po szyję.

Ania zmarszczyła brwi. Czuła wielką ulgę, że przyszedł, ale nie potrafiła jeszcze wyznać, że bardzo jej zależy na utrzymaniu tego związku. Dzień wcześniej pokłócili się i wydawało się jej, że to już będzie rozstanie na zawsze. Wtedy znów do niej dotarło, jak bardzo, do szaleństwa, kocha tego chłopaka! Nie wiedziała tylko, czy jego uczucie jest równie silne, czy może chęć związania się z nią ślubem została wymuszona sytuacją. Tylko dlatego odwlekała decyzję – chciała mieć absolutną pewność, że Tomek nie robi nic wbrew sobie. Nie zniosłaby, gdyby miał ją znowu porzucić!

Siedzieli teraz ciasno przytuleni, trzymając się za ręce tak mocno, jakby się bali, że to drugie łada moment może uciec.

– A ty nie byłeś ze mną szczery! – powiedziała wreszcie.

– Nie byłem – przyznał pokornie. – Ale twój stary trzy razy mi powtarzał, że mam trzymać głowę na kłódkę. Jak się w ogóle domyśliłaś, że do mnie zadzwonił?

Ania pokręciła głową z niedowierzaniem. Naiwność Tomka w kontaktach z Maksymilianem budziła politowanie. Ale to, że jej ojciec namówił chłopaka do przeprowadzenia z nią jeszcze jednej rozmowy, a nawet poinstruował go, co dokładnie ma mówić, było w tej chwili sprawą drugorzędną. Teraz musiała się dowiedzieć, czy sensacyjne wiadomości, które uzyskla dziś wieczór od ich wspólnego przyjaciela, były prawdziwe.

– Nie o to mi chodzi! – prychnęła.

– Więc o co?

– O stypendium. I twój wyjazd do Stanów.

Tomek milczał przez chwilę, tylko jego palce coraz mocniej zaciskały się na jej ręce.

– Skąd o tym wiesz?

– Zadzwoił Pablo – Ania aż zgrzytnęła zębami, gdy sobie przypomniała, w jakich okolicznościach dowiedziała się o tak ważnej dla nich obojga sprawie.

– Pablo?! – Tomek cały się spiął. Od kiedy Ania ubiegłej jesieni poszła z jego przyjacielem na koncert Muñka Staszczyka, za każdym razem, gdy wymieniała imię młodego studenta Akademii Sztuk Pięknych, czuł w sercu ukłucia zazdrości. – A cóż on chciał od ciebie?!

– Ciii. Ciocia śpi! – upomniała go dziewczyna. – Nic nie chciał, po prostu zapytał, co słyszać. Ale zastanawiam się, dlaczego ty mi o tym wyjeździe nic nie powiedziałaś?!

– Chciałem. Właśnie po to wtedy przyszedłem. – Na myśl o cioci Tomek uspokoił się od razu. – Twój ojciec swoim telefonem tylko mnie utwierdził w tej decyzji, powiedział, że to jest dobra chwila i że już przygotował grunt...

Ania nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Przypomniała sobie podchody ojca, który na wiadomość, że zostanie dziadkiem, od miesiąca wszelkimi sposobami próbował doprowadzić do ich ślubu. Ta jego pewność siebie! To przekonanie, że ma jakiś wpływ na ich decyzje i bieg rzeczy! Długą chwilę chichotała, z twarzą wtuloną w poduszkę. Napięcia ostatnich miesięcy, zmiany hormonalne i zwykłe zmęczenie sprawiły jednak, że nawet nie wiedziała, kiedy jej śmiech przeszedł w płacz.

Tomek z przerażeniem słuchał dochodzących z poduszki odgłosów. Gładził jej włosy i trzęsące się ramiona i nie miał pojęcia, co zrobić lub powiedzieć.

– Nigdzie nie pojedę! – zdecydował się wreszcie na wyartykułowanie tego, z czym i tak tu przyszedł.

Ania odjęła od twarzy wilgotny jasiek i z niedowierzaniem popatrzyła mu w oczy. Była kompletnie zaskoczona.

– Nie pojedziesz?! – wykrzyknęła i zaraz rzuciła spłoszone spojrzenie w stronę drzwi wiodących do sypialni babci. Nadstawiła ucha – z sąsiedniego pokoju dobiegło znajome pochrapywanie. Widać nagły hałas nie wyrwał ciotki Pelagii ze snu. Musieli jednak zachowywać się cicho, jeśli chcieli nadal rozmawiać bez świadka. A do omówienia było wiele spraw.

Tomek wstał i na palcach podszedł do drzwi. Spróbował je zamknąć, ale zawiasy wydały z siebie tak przeraźliwy zgrzyt, że puścił klamkę jak oparzony i czym prędzej wrócił na sofę. Przez chwilę siedzieli przykryci kołdrą, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemność za drzwiami. Nikt się jednak nie pojawił, jęknęły tylko sprężyny łóżka – ciotka przewróciła się na drugi bok.

– Nie pojedę! – powtórzył szeptem, gdy napięcie z nich trochę opadło. – Nie pojedę, jeśli zgodzisz się ze mną zostać. Zaczniemy od nowa.

Ania milczała przez chwilę. Nie spodziewała się aż tak szybkiej jego kapitulacji. Właściwie w ogóle na nią nie liczyła. Wszystko to działo się zbyt prędko. To było wręcz... nierozsądne!

– Co to za stypendium? – zapytała wreszcie rzeczowo.

– Roczny staż w firmie Dell w Teksasie. Zielona karta na dwanaście miesięcy, z możliwością przedłużenia.

Aż wciągnęła powietrze. Praca w Stanach Zjednoczonych! Marzenie tylu ludzi biorących udział w amerykańskiej loterii wizowej! A Tomek – ten szczęściarz! – miał otrzymać od razu nie tylko wizę, ale i zatrudnienie. W zawodzie, którego się uczył!!!

– Poczekaj! – podniosła rękę, przerywając mu. – Czy ja dobrze słyszę? Legalna praca w Stanach?

– Legalna. Zrobili konkurs dla studentów informatyki na język opisu układów cyfrowych. Kilku najlepszym oferują staż w swoim dziale badawczo-rozwojowym. Dostałem propozycję, ale do końca miesiąca muszę potwierdzić uczestnictwo w projekcie. Jeśli się nie zdecyduję, na moje miejsce pojedzie po prostu kto inny.

Teksas! Rozległe prerie, które znała jedynie z westernów. Czerwone skały, agawy, stada bydła zaganiane przez kowbojów na koniach, sterczące samotnie, wysokie wieże napędzanych wiatrem pomp. Ileż by dała, żeby je zobaczyć!

– Czyli mamy jeszcze kilka dni? – dopytała.

– Mamy.

Spostrzegł, że użyła liczby mnogiej. Objął ją ramieniem i pocałował w ucho.

– Nie myśl sobie! – zaczęła wojowniczo, ale nie dał jej skończyć.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał, gdy po długiej chwili oderwali się od siebie, by zaczerpnąć powietrza.

– Nie wiem... Muszę się zastanowić... – wyszeptała i przymknęła oczy.

Potem znowu całowali się długo, z pasją, którą potęgowały miesiące rozłąki. Żadne z nich nie zauważyło stojącej w drzwiach, obleczonej w nocną koszulę, cichej jak duch postaci. Ciotka Pelagia uśmiechnęła się pod nosem i pokiwała głową. Zamknęła drzwi – zawiasy zaskrzypiały potępieńczo. Młodzi jednak nawet tego nie dosłyszeli.

Kraków, niedziela, 26 stycznia 1992

Niedziela była u Petrycych dniem, w którym – zgodnie z tradycją – jadano wspólnie obiad. Zwykle rodzina zbierała się w dużym pokoju na piętrze. Z mieszczącego się na parterze salonu babci Isi – pełnego starych mebli, obrazów i bibelotów – korzystano tylko w największe święta. Każde spotkanie w tym wnętrzu miało więc posmak wyjątkowości, choćby nawet potrawy – przyrządzone i podane przy takich okazjach zawsze przez Marysię – były najprostsze pod słońcem.

Tym razem miało być inaczej. Maria Petrycy, radczyni w przedsiębiorstwie zajmującym się projektowaniem obiektów przemysłowych, przeżywała ostatnio trudny okres. Zaczęło się od kłopotów w pracy, gdzie swoje zaangażowanie w przygotowanie prywatyzacji o mały włos przypłaciłaby zwolnieniem. Wygrana w Sądzie Pracy unieważniła tę decyzję, ale Maria Petrycy wiedziała, że nic już nie będzie po staremu. Potem w domu doszło do małego trzęsienia ziemi, gdy najstarszy syn oświadczył, że wyjeżdża na stypendium do Paryża, a pełnoletnia od czterech lat córka zakomunikowała, że postanowiła zostać samotną matką. A jakby tego było mało, Marysia przez przypadek odkryła w gabinecie Maksymiliana kompromitujące zdjęcia z jego ubiegłorocznej podróży do Niemiec. To ostatnie wydarzenie ujawniło w pełni kryzys małżeński, który niepostrzeżenie narastał u Petrycych już od wielu miesięcy. Wywołało też awanturę, na której wspomnienie jeszcze dziś się czerwieniła. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się jej ciskać w rozmówcę przedmiotami! Nie poznawała samej siebie.

Podczas wizyty u ginekologa niespodziewanie wyszło na jaw, że rzekome oznaki menopauzy to po prostu ciąża. Jedyną reakcją, na jaką zdobyła się ogłuszona tą nowiną Marysia, był powrót do domu i wczolganie się do łóżka. Wprawdzie zrozumiała, skąd biorą się u niej wahania nastroju, napady płaczliwości i agresji, a także zmiany w fizjologii, nie wpłynęło to jednak w najmniejszym stopniu na złagodzenie tych przykrych objawów.

Przez kilka dni nie opuszczała sypialni, pozostawiając na barkach męża troskę o dom, dwójkę małoletnich jeszcze dzieci, planując powrót do Anglii ciotkę oraz psa i kota. Sama – śmiejąc się i płacząc na przemian – próbowała oswoić się z myślą o piątym dziecku i w wolnych od tych emocji chwilach zaplanować taktykę, jaką ma obrać na zbliżającym się zebraniu pracowników firmy.

Zatrudnieni mieli zaopiniować przygotowany przez dyrekcję i popierany przez radę pracowniczą wniosek do ministerstwa o prywatyzację z udziałem kapitału zagranicznego. Utworzeniem spółki był zainteresowany inwestor z Francji i większość załogi z nim wiązała swoje nadzieje. Tylko garstka osób, tworząca „obóz antyfrancuski”, gotowa była odrzucić ten dar losu i rozpocząć samodzielną walkę o przetrwanie. Było to prawdziwe wyzwanie w sytuacji, gdy większość zakładów przemysłowych znajdowała się w tarapatach, jednak Marysia wraz z kolegami już wiele miesięcy temu uznała, że istnieje szansa powodzenia. Wymagało to jednak zaangażowania nadzwyczajnej energii, sił i środków. Dopiero teraz, tuż przed generalną rozprawą, nasunęło się jej najbardziej podstawowe pytanie: „Czy ja podołam?”

Te i inne wątpliwości tłukły się jej po głowie podczas długich godzin spędzonych w łóżku, podczas gdy dzieci i mąż donosili jej posiłki oraz herbatę z sokiem malinowym. Wedle oficjalnej wersji była zaziębiona. Zapuchnięte od płaczu oczy i czerwony nos tylko potwierdzały to niewinne kłamstewko.

W sobotę ochłonęła już na tyle, że zdecydowała się wstać i – w ramach przygotowań do poniedziałkowego starcia z dyrekcją – pójść do fryzjera oraz manikiurzystki. Dojrzała też do myśli, że trzeba będzie poinformować pozostałych członków rodziny o szczęściu, jakie niespodziewanie na nich spadło. Gdy się zastanawiała, kiedy najlepiej będzie to zrobić, niespodziewanie zdarzył się mały – ale jakże doniosły! – domowy cud. Ania zaprosiła całą rodzinę na niedzielny obiad do salonu babci.

Oficjalnym powodem spotkania miało być pożegnanie ciotki Pelagii – starsza pani w poniedziałek udawała się pociągiem do Warszawy, stamtąd taksówką na Okęcie, wreszcie – samolotem – do swojego domu w Londynie. Jej pobyt w Krakowie oraz czas spędzony w domu najbliższych krewnych okazały się dużo bardziej wzruszające i bogate w zdarzenia, niż mogłaby kiedykolwiek przypuszczać. Choć na myśl o wyjeździe wyraźnie traciła humor, sama kupiła w Locie bilet, spakowała swoją wielką walizkę z czerwonej lakierowanej skóry i zapowiedziała, że na pożegnalny obiad własnoręcznie przygotuje jakieś angielskie danie.

Marysia czuła jednak, że kryje się za tym coś jeszcze. Od kilku dni Ania promieniała. Chodziła po domu tanecznym krokiem, uśmiechała się do każdego, pod nosem zaś nuciła sobie melodyjkę, którą po pewnym czasie Marysia

zidentyfikowała jako motyw muzyczny z *Siedmiu wspaniałych*. A jeszcze niedawno dziewczyna przypominała cię samej siebie, przesiadywała samotnie w mieszkaniu po babci i uporczywie unikała rozmów z rodzicami! Marysia przeczuwała, że w życiu ich córki dokonał się jakiś przełom i Ania szykuje im niespodziankę.

„Cóż. My też będziemy mieli wam coś do powiedzenia” – myślała, a potem, w zależności od nastroju, zaczynała chociaż lub zalewać się łzami.

Tych kilka dni pełnej swobody w uzewnętrznianiu uczuć sprawiło jednak, że w niedzielę zdołała zachować całkowitą równowagę psychiczną, mimo że w czasie rodzinnego obiadu dowiedziała się takich rzeczy, że przekazanie nowiny o dziecku przestało być dla niej najważniejszą sprawą.

Gdy odświeżenie ubrani zeszli wraz z mężem do salonu, Marysia nie zdziwiła się ani trochę na widok Tomka Podróżnika, który – przepasany obszernym fartuchem po babci Isi – kończył nakrywać do stołu. Zaskoczyło ją jedynie to, że również Maksymilian przyjął tę niecodzienną sytuację bez mrugnięcia okiem, jakby obecność młodzieńca w ich domu była rzeczą najbardziej naturalną w świecie.

Zapach mieszkania babci Isi – niepowtarzalny, łączący się z wieloma pięknymi wspomnieniami – został tym razem wzbogacony innymi woniami: obłądnym aromatem szarlotki, szczerze doprawionej cynamonem, a także jakiegoś pieczonego mięsiwa. Pachniała też wyschła na wiór choinka i perfumy Chanel N°5, którymi obficie skropiła się ciotka. Natomiast zupa, którą im zaserwowała dumna ze swego dzieła Ania, pachniała jedynie zieloną pietruszką.

– Dlaczego ten rosół jest taki blady? – zapytała Gabrysia, podejrzliwie spoglądając na płyn, który nalano jej na talerz.

– I smakuje jak woda! – dorzucił Franek, paskudnie skrzywiony, odkładając łyżkę.

Maksymilian zaś, nie zwracając uwagi na groźnie zmarszczone brwi swojej córki, już po pierwszym łyku poprosił o sól i pieprz.

– Powinniśmy ją wspierać! – powiedziała przyciszonym głosem Marysia, gdy dziewczyna wyszła do kuchni. – Pierwszy raz zdarzyło się jej coś ugotować! Żeby się tylko nie zniechęciła...

– Więc co, mam się tym katować?! – parsknął doktor, wskazując z irytacją na przejrzystą zupę, w której pływały strzępy marchewki, rozgotowany makaron i grubo pokrojona natka.

Nie podejrzewali nawet, że najgorsze jest jeszcze przed nimi. Jak się bowiem okazało, na drugie danie była jagnięcina. Upieczone na brązowo mięso, przyprawione czosnkiem i ziołami, mimo charakterystycznego zapachu byłoby całkiem smaczne, gdyby nie pokrywające je szczerze zielone farfocle.

– To sos miętowy. Angielska specjalność – oświadczyła z dumą Pelagia, autorka potrawy. – Nawet nie wiecie, ile mnie kosztowało zdobycie u was o tej porze roku świeżej mięty! Kioskarka sprowadzała ją specjalnie dla mnie z jakiejś szklarni aż z Igołomi.

Niestety, jej wysiłki nie zostały docenione. Ania mogła się wymówić ciężą, młodsze dzieci usprawiedliwiał wiek, ale fakt, że także Maksymilian i Tomek ukradkiem ściągali listki na brzeg talerza, mocno uraził starszą panią. Marysia z uprzejmości żuła mięso wraz z przybraniem, a każdy

kęś po prostu rósł jej w ustach. Wreszcie nastąpiło to, czego w tej ciąży jeszcze nie doświadczyła – poczuła znajomą falę podchodzącą jej do gardła, zerwała się od stołu i z serwetką przyciśniętą do warg rzuciła się biegiem do toalety.

– ...i jeszcze nie wydobrzała! – dobiegły ją przez drzwi mętne wyjaśnienia Maksymiliana.

W tej sytuacji prostowanie wypowiedzi męża byłoby dość niezręczne.

– No cóż, do wszystkiego trzeba się przyzwyczaić! Ja też nie od razu stałam się wielbicieleką brytyjskiej kuchni – stwierdziła filozoficznie ciotka, gdy Ania i Tomek zebrali pełne resztek talerze. Minę miała jednak niewyraźną.

Wydawało się, że przynajmniej deser – emanujący wonią karmelizowanego cukru i cynamonu – nikogo nie rozczaruje. Gabrysia rozłożyła na stole talerzyki i wszyscy, nadal jeszcze bardzo głodni, zamarli w oczekiwaniu na szarlotkę. Ania i Tomek zwlekali jednak z wniesieniem ciasta, z wielkim ożywieniem, choć przyciszonymi głosami, dyskutując o czymś w drzwiach kuchni. Wreszcie przy wejściu nastąpiła przepychanka, po czym Tomek wkroczył do pokoju, a Ania wbiegła sekundę po nim, wyraźnie wzburzona. Zamiast ciasta chłopak niósł kwiaty.

– Jeśli można! – powiedział drżącym głosem, zwracając się do Petrycy. – Kocham państwa córkę i chciałbym prosić o jej rękę!

Po czym padł na kolana przed Marysią.

Ania wywróciła oczami i tupnęła nogą. Widać było po jej minie, że nie tak wyobrażała sobie ten moment. Marysia i Maksymilian spojrzeli po sobie.

– Ależ bierz ją, skoro już i tak to zrobiłeś bez naszej wiedzy i zgody! – palnął doktor. W brzuchu mu burczało i czuł, że jeśli zaraz nie zje czegoś konkretnego, to wybuchnie.

– Ale co ona no to? – zapytała w tej samej chwili Marysia, choć właściwie znała już odpowiedź.

Ania opanowała złowrogie błyski w oczach i uśmiechnęła się niewinnie.

– Ja już się zgodziłam – powiedziała krótko. – Za tydzień ślub.

W salonie zapadła cisza jak makiem zasiał.

– Przepraszam? – odezwał się wreszcie Maksymilian. – Czy ja dobrze usłyszałem?

– Tak, tato.

– Za tydzień?!

– Chcieliśmy wam zrobić niespodziankę i poinformować o wszystkim już po fakcie. Przyjść tu z papierem i z obrączkami i popatrzeć, jak wam szczęki opadają – odrzekła jego córka. – Ale Tomek miał niesamowite opory. Dlatego jednak wam mówimy. Bo mieliśmy im tylko powiedzieć, a nie prosić?! – zupełnie innym głosem, siejąc iskry z oczu, zwróciła się do ukochanego.

Tomek Podróżnik, ciągle na kolanach i z kwiatami w dłoni, bezradnie wzruszył ramionami.

– Co ja poradzę! – wyszeptał do niej, ale oczywiście słyszeł go wszyscy. – Ojciec tak mi kazał.

Po czym wreszcie wręczył Marysi bukietik białych frezji.

Doktor głośno przełknął ślinę. Jego żona odruchowo wtuliła twarz w pięknie pachnące kwiaty, kłując sobie nos gałązkami asparagusa. Oboje nie mieli pojęcia, jak teraz zareagować.

– Mądrego masz ojca, chłopcze – odezwała się spokojnie Pelagia.

Flip, buszujący dotąd pod stołem w poszukiwaniu okruszków, wynurzył się nagle i szczerknął ostrzegawczo, z pyskiem zwróconym w stronę drzwi wejściowych. I w tym momencie zadźwięczał dzwonek.



Janka Rosa, zaprzyjaźniona z Marysią już od lat studenckich, a szczególnie blisko od chwili rozvodu ze swoim trzecim mężem, miała intuicję. Pojawiała się u Petrycych zawsze wtedy, gdy działo się coś interesującego. Była więc świadkiem awantury, która wybuchła, gdy Jasiek oświadczył przed kilku laty, że zamierza studiować kontrabas w Katowicach. Uczestniczyła w poszukiwaniach korepetytora dla Ani, gdy okazało się, że w czwartej klasie liceum dziewczyna jest zagrożona z matematyki, fizyki i chemii. Łagodziła napięcia i wraz z Marysią powstrzymywała Maksymiliana przed zastosowaniem kar cielesnych, kiedy wyszło na jaw, że Franek i jego koledzy wysyłają do nauczycielki historii listy z pogrózkami, podpisane „Mafia”. Oczywiście uczestniczyła też w zawirowaniach, jakie miały miejsce pod dachem przyjaciół w ostatnich tygodniach i – jeszcze do niedawna – była we wszystkim bardzo dobrze zorientowana.

Od kilku dni przeczuwała, że u Petrycych zaszły jakieś nieprzewidziane wypadki. Natłok zajęć jednak – kilka konferencji w pracy, konieczność goszczenia zagranicznej delegacji oraz zebranie sprawozdawczo-wyborcze krakowskiego

oddziału Polskiego Klubu Ekologicznego, do którego od niedawna należała – spowodował, że nie miała czasu, by do nich zajrzeć. W niedzielę już od rana odczuwała dziwny niepokój, który wzmógł się jeszcze podczas obiadu w restauracji na kopcu Kościuszki, gdzie grupa pracowników Instytutu Ekspertyz Sądowych żegnała swoich amerykańskich kolegów po fachu. W ogólnodostępnej sali obecni byli też inni goście i właśnie z tamtej strony do uszu Janki doleciało znajome nazwisko. Odwróciła się dyskretnie – przy stoliku obok, nad talerzami pełnymi frytek, dyskutowała grupa młodych ludzi. Przewieszona przez poręcz jednego z krzeseł torba z magnetofonem i mikrofonem mogła sugerować, że byli to dziennikarze z komercyjnego radia, które miało nieopodal swą siedzibę.

„Może się przesłyszałam” – pomyślała Janka, nieuważnie potakując swoim angielskojęzycznym rozmówcom.

Kiedy jednak po raz drugi usłyszała nazwisko Petrycy, wyprostowała się na krześle i – tym razem nie odwracając już głowy – zaczęła bezczelnie podsłuchiwać. Były to tylko plotki, jakieś przypuszczenia i spekulacje, ale i tak ścierpła jej skóra. Po zakończeniu oficjalnej części spotkania pożegnała się jak najszybciej i zbiegła z kopca do Diabelskiego Mostu, pozostałości po dawnej Twierdzy Kraków. Tam, rozglądając się na boki, czy jej ktoś nie widzi, skręciła z alei Waszyngtona w stromą ścieżkę schodzącą do ulicy Królowej Jadwigi. Wykręcając nogi na wertepach, na wpół zjechała, na wpół zbiegła w kierunku mieszczącej się u jej podnóża podstawówki, po czym, ślizgając się na oblodzonym chodniku, udała się aleją Focha w stronę starej willi swoich przyjaciół. Już

przy furtce stwierdziła, że nos jej nie mylił – u Petrycych coś się działo. Okna parteru były rzęsiście oświetlone. Znak, że w reprezentacyjnym salonie odbywa się właśnie rodzinne zebranie.

Ktoś inny być może poczułby się tym speszony i nie zdecydowałby się na przyciśnięcie dzwonka. Ale nie Janka. Była tak zżyta z tą rodziną, że o każdej porze dnia, a nawet nocy, czuła się na Focha mile widzianym gościem. W szafce w przedpokoju miała nawet parę własnych pantofli, zakupionych specjalnie po to w sklepie z indyjską odzieżą. To ona pomogła Marysi rozszyfrować nieczytelne zapiski babci Isi i jako pierwsza poznała tajemnicę pochodzenia Maksymiliana. Całkiem niedawno w jesienną szarugę udzieliła u siebie schronienia bezdomnej chwilowo Ani, a potem pożyczyła sporą sumę pieniędzy na pierwszą inwestycję jej chłopaka. Ostatnio zaś pocieszała roztrzęsioną kryzysem małżeńskim Marysię i odводziła ją gorąco od myśli o rozwodzie. Wzajemne relacje Janki i Petrycych były zatem takie, że bez skrupowania mogła się wprosić na rodzinne przyjęcie. Szczególnie że nad głowami przyjaciół gromadziły się burzowe chmury. Koniecznie musiała przekazać im to, co usłyszała! Z tą myślą wcisnęła dzwonek – i wpadła niespodziewanie prosto w oko cyklonu.

Maksymilian stał na środku pokoju, a żyła na czole pulsowała mu rytmicznie. Marysia – dość puszysta w swojej jasnej sukience i z białym bukietem przy twarzy – wyglądała u jego boku jak kapłanka domowego ogniska, uosobienie spokoju i miłości. Tylko jej oczy, nieruchome, szeroko otwarte – zdradzały szok. U ich stóp klęczał Tomek Podróżnik, za nim zaś podskakiwała wyraźnie czymś rozzłoszczona Ania. Gabrysia

i ciotka Pelagia siedziały przytulone, w milczeniu chłonąc szczegóły tej sceny, jakby były na dobrym przedstawieniu w teatrze. Franek zaś, który otworzył Jance drzwi, zachowywał pełny dystans. Oparł się ramieniem o drewnianą futrynę i wykrzywił twarz w złośliwym uśmiechu.

– Anka chce się ochajać – poinformował przyciszonym głosem. – Za tydzień.

– O co wam chodzi?! – zapytała dziewczyna w tym samym momencie, nie zważając na to, że do ich grona dołączyła jeszcze jedna osoba. – Przecież to tylko ślub cywilny! Zwykła formalność!

Maksymilian odetchnął głęboko. Postanowił przynajmniej spróbować zrozumieć swoją córkę.

– No właśnie! – powiedział. – A kiedy ślub kościelny? I skąd ten nagły pośpiech?!

Pytanie mogło się wydawać bezsensowne. Figura Ani zaczęła już zdradzać oznaki ciąży. Janka, która nie widziała dziewczyny od dwóch tygodni, spostrzegła to od razu. Doktor jednak, dobrze znający swą pociechę, nie bez powodu je zadał. Jeszcze do niedawna Ania rękami i nogami broniła się przed ślubem. I choć sama wiadomość bardzo Petrycego ucieszyła, podany termin od razu wzbudził jego podejrzenia.

– Ślubu kościelnego na razie nie będzie – wyjaśniła krótko Ania. – Chodzi o to, żeby zalegalizować związek, zanim Tomek wystąpi w konsulacie o zieloną kartę. Jak już zostanie jego żoną, będzie mógł potem bez przeszkód ściągnąć mnie do Stanów.

Maksymilian usiadł na krześle. Marysia stała nadal, tylko z rąk wypadł jej bukiet i sfrunął na podłogę.

– Do Stanów? – zapytała Pelagia, która jako jedyna w pokoju nie straciła mowy. – Wybieracie się do Ameryki?

– Wygrałem roczny staż w firmie produkującej komputery w Teksasie – cicho odezwał się Tomek. Podniósł upuszczone przez Marysię kwiaty i wreszcie sam pozbierał się z podłogi.

– W jakiej firmie? – Głos Maksymiliana był dziwnie spokojny. Słaby, zgaszony. Martwy.

– Dell.

– Pierwsze słyszę...

W pokoju znowu zapadła głucha cisza. Doktor zrezygnowanym gestem pocierał czoło, jakby go nagle zaczęła boleć głowa.

– Nie cieszycie się? – zapytała wreszcie Ania, tocząc wokół zdziwionym spojrzeniem. – Myślałam, że zależy wam na tym, żebym wyszła za mąż.

Nikt się nie odezwał. Janka, choć sprawa, z którą tu przybiegła, paliła ją jak rozżarzony węgiel w koniuszek języka, też milczała. Przysunęła sobie wolne krzesło i usiadła obok Gabrysi.

– Tak – mruknął wreszcie Petrycy, ciągle tym samym, matowym głosem. – To może chociaż zjedzmy szarlotkę...

Z przerzedzonymi i posiwiałymi na skroniach włosami, ziemistą twarzą, sprawiał wrażenie człowieka ciężko chorego. Jance nie po raz pierwszy ścisnęło się serce, gdy na niego spojrzała. Dopiero tuż przed wyjściem zdobyła się na odwagę, by w krótkiej rozmowie sam na sam przekazać Marysi wiadomość. Była pewna, że jej przyjaciółka – silna, mądra i odważna kobieta – uniesie jej ciężar i w odpowiednim momencie podejmie decyzję, co z tym dalej zrobić.

Kraków, poniedziałek, 27 stycznia 1992

Ranek wstał czysty i mroźny. Błonia skrzyły się w blasku słońca jak wielkie, białe morze. Były to już ostatnie tak piękne dni – w *Wiadomościach* zapowiedziano nadejście ciepłego frontu i opady śniegu z deszczem.

Maria Petrycy szła przecinając Błonia ścieżką, wydeptaną w wysokim śniegu przez dziesiątki stóp. Jeśli ktoś nie posiadał samochodu i nie chciał korzystać z komunikacji miejskiej, przez Błonia właśnie, park Jordana i teren Akademii Górniczo-Hutniczej miał najkrótszą drogę ze Zwierzyńca na Krowodrzę. Choć pogoda nie zawsze sprzyjała, a krakowskie powietrze pozostawiało wiele do życzenia, Maria Petrycy zawsze ceniła sobie ten poranny spacer. Nawet jeśli po dojściu do biura musiała potem w łazience ścierać błoto z butów papierem toaletowym i chusteczkami higienicznymi.

Dziś jednak była zbyt zajęta, by podziwiać zimowy krajobraz. Musiała się skupić przed zebraniem, na którym czekało ją decydujące starcie ze „stronnictwem francuskim”. Wiedziała, że jeśli nie będzie dostatecznie przekonująca, za kilka godzin klamka zapadnie. Gdzieś w głębi duszy cichy głosik uparcie szeptał jej, że wszystkie podejmowane przez nią wysiłki na nic się zdadzą. Gdy weszła do holu i spojrzała w oczy portiera – starszego człowieka, który kilka dni temu w bardzo niekorzystnym świetle przedstawił ją w Sądzie Pracy – to nie-dobre przeczucie jeszcze się wzmogło.

Zakład pracy Marysi mieścił się w budynku z lat sześćdziesiątych przy ulicy Czarnowiejskiej. Była to dziwna okolica. Kiedyś rozciągała się tu wieś o świetnych glebach, która

zaopatrywała krakowskich mieszczan w najlepsze warzywa. Gdy po długich negocjacjach Czarna Wieś została włączona w obręb Wielkiego Krakowa, pomiędzy chałupami zaczęły powstawać pojedyncze wille o podmiejskim charakterze. Sytuacja zmieniła się w okresie międzywojennym, wraz z rozrostem miasta i wytyczeniem Alei Trzech Wieszców. W latach trzydziestych Czarnowiejska, wraz z odchodzącymi od niej ulicami Urzędniczą i Konarskiego, była już gęsto zabudowana czynszowymi kamienicami. Wtedy wzniesiono także przy alei Mickiewicza monumentalne gmachy Akademii Górniczej. To one pełniły przez kilka lat niechlubną funkcję siedziby rządu Generalnego Gubernatorstwa. Jednak dopiero to, co nastąpiło po wojnie, na zawsze zmieniło charakter tej części Krakowa. By zaspokoić palące potrzeby mieszkaniowe, rozpoczęto niekontrolowany a bujny rozwój wszelakiego budownictwa. U progu lat dziewięćdziesiątych znaleźć tu można było wszystko – od mieszkalnych wieżowców z wielkiej płyty poczynając, przez plomby łączące przedwojenne kamienice, betonowe pawilony służące potrzebom nauki, przemysłu oraz handlu, na magazynach i garażach-blaszakach kończąc. Gmach Biura Projektów Budownictwa Przemysłowego w Krakowie należał do takich właśnie, od początku mało urodziwych, a przez czas odartych z resztek jakiegokolwiek wdzięku, poszarzałych i smutnych obiektów. Składał się z dwóch części, połączonych krótką przewiązką, i architektonicznie nie wyróżniał się w żaden sposób spośród innych tego typu obiektów. Lokalizacja jednak, na pograniczu Starego Miasta i Krowodrzy, w odległości dziesięciu minut na piechotę do Rynku Głównego, sprawiała, że warto było się o niego bić.

I taki właśnie zamiar miała Maria Petrycy, pomimo wszystkich swoich złych przeczuć. Wkroczyła do holu z wysoko podniesioną głową. Pan Józef, wręczając jej klucze do gabinetu, który zajmowała, zanim otrzymała zwolnienie z pracy, spuścił wzrok. Po chwili jednak, gdy Marysia już odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę windy, zawołał przyciszonym głosem:

– Pani kierownik!

Odwróciła się odruchowo.

– Ja tego nie chciałem! – wyszeptał ledwie dosłyszalnie, rzucając spojrzenia na boki. – Zmusili mnie.

Przez chwilę milczała, nie wiedząc, co mu odpowiedzieć.

– Dwa lata przed emeryturą! Niechże mnie pani zrozumie! Żona od lat choruje, nie mogłem teraz stracić pracy!

– Wszystko w porządku, panie Józefie – odezwała się wreszcie Marysia, choć głos miała nieco schrypnięty. – Jak pan widzi, wróciłam. I nie zamierzam się poddać.

Portier z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Oni mają swoje sposoby – mruknął. Jeszcze raz rozejrzał się wokół, a widząc, że hol jest pusty, dorzucił: – Różne rzeczy tu słyszałem... Nie dadzą pani nawet dojść do głosu! Tak w każdym razie ludziska gadają.

Jak wkrótce miało się okazać, gadali prawdę.



W sali konferencyjnej, będącej obok stołówki największym pomieszczeniem w firmie, zgromadziło się ponad sto osób. W takim tłumie ludzi, usadowionych na stołach, krzesłach,

parapetach, a nawet podłodze, można było kogoś przeoczyć. Maria Petrycy przedarła się jednak do przodu i stanęła przed samym stołem prezydialnym. Mimo to dyrektor i jego zastępca uparcie jej nie dostrzegali. Dopiero gdy Michał Zabłocki, jeden z najstarszych architektów zatrudnionych w biurze i członek rady pracowniczej, wstał ze swojego krzesła, by jej zrobić miejsce, kierownictwo raczyło ją zauważyć.

– O! Pani Maria! – zdziwił się dyrektor w sposób aktorski i zdobył nawet na wymuszony uśmiech. – Miło panią znowu widzieć.

W czasie zebrania zarówno on, jak i jego zastępca ignorowali jej uniesioną rękę. Dopiero gdy wstała, dyrektor musiał zareagować. Szepnął coś na ucho Xavierowi Jackowskiemu.

– Pani Mario – odezwał się młody człowiek z fałszywą słodyczą – zanim udzielię pani głosu, muszę wiedzieć, w jakim charakterze dziś tu pani występuje. Czy jako radca prawny naszego biura? Czy jako działaczka związkowa?

– Jako osoba zatrudniona – odpowiedziała krótko Marysia.

– Tak, ale zatrudniona na szczególnym stanowisku! – wtrącił się dyrektor.

Maria Petrycy wciągnęła głęboko powietrze. Pomimo uchylonych okien w pomieszczeniu było nieznośnie duszno. Wiedziała już, do czego zmierzają ci dwaj.

– Jestem pracownikiem naszego biura – zaczęła spokojnie, nie dali jej jednak dokończyć. Mieli tę przewagę, że dysponowali mikrofonem.

– Nie jest pani zwykłym pracownikiem – powiedział z naciskiem zastępca dyrektora. – Zwolnienie z pracy, które pani

otrzymała z powodu nielojalności wobec kierownictwa, zostało przez Sąd Pracy uznane za nieważne. Wróciła więc pani na zajmowane wcześniej stanowisko. Jest pani radcą prawnym, pani mecenas. I obowiązuje panią właściwa dla tego zawodu etyka!

Marysia spojrzała wokół siebie. Na twarzach najbliższych siedzących ludzi malowało się oczekiwanie – byli ciekawi, jak teraz zareaguje. Wiedziała, że młody człowiek ma rację i że znajduje się na grząskim gruncie. Sprzeciw wobec przyjętej przez dyrekcję i radę pracowniczą koncepcji prywatyzacji powinien wyjść od kogoś innego – nie od radcy prawnego, który miał obowiązek wspierać kierownictwo zakładu w podejmowanych decyzjach.

– Dobrze – powiedziała, na pozór nie tracąc rezonu. W rzeczywistości jednak oblewały ją na przemian zimne i gorące poty. – Proszę zatem o oddanie głosu przedstawicielowi związków zawodowych.

Wiedziała, że Antek Janusz, szef zakładowej „Solidarności”, jest kiepskim mówcą. Poza tym magiczne słowa: „kapitał zagraniczny”, „polsko-francuska spółka” i „strategiczny inwestor” także na nim robiły potężne wrażenie. Trudno się zatem dziwić, że dość mętnie i bez przekonania przedstawił słuchaczom wizję utworzenia spółki pracowniczej.

– Wiadomo, że na początku będzie ciężko – powiedział, odwołując się do skompromitowanej już w opinii publicznej polityki „zaciskania pasa”. – Ale trzeba wziąć pod uwagę, że przynajmniej będziemy na swoim. Nie będziemy żyć w strachu, że lada moment znajdziemy się na bruku. To my sami, nikt inny, będziemy podejmować decyzje o ewentualnych zwolnieniach.

Skończył i spojrzał pytająco w stronę Marii Petrycy i Haliny Bruzdy, rzeczywistych autorek tego projektu. Kiwnęły głowami, nie zauważył jednak zachwyty na ich twarzach. Z głębi sali odezwały się anemiczne oklaski. Dyrektor nie mógł powstrzymać tryumfального uśmieszku. Wstał, by zadać ostateczny cios.

– Spójrzmy na to z innej perspektywy – powiedział. – Jako spółka polsko-francuska być może nie będziemy musieli nikogo zwalniać, a wręcz przeciwnie, zaczniemy zatrudniać! Nasi partnerzy mają środki finansowe i kontakty na całym świecie. Mogą unowocześnić nasze biuro i wprowadzić tu europejskie standardy! Czeką nas kupno komputerów i oprogramowania, szkolenia zagraniczne, kontrakty i prace projektowe we Francji...

– Chciałabym zobaczyć choć jeden taki kontrakt! – mruknęła pod nosem Marysia, na tyle jednak głośno, że usłyszały ją osoby z kilku pierwszych rzędów. Po ich minach i wymienianych półgłosem uwagach poznała, że trafiła w sedno. Wszyscy obiecywali sobie dużo po spółce z Francuzami, ale bajeczne wizje, jakie roztaczał dyrektor, mało komu wydawały się realne. Ludzie czekali na głos rozsądku, na kogoś, kto im powie, na czym tak naprawdę stoją.

Marysia wiedziała, że jeśli teraz czegoś nie wymyśli, opinia lada moment zostanie uchwalona. Czuła na sobie ponaglące spojrzenia wielu współpracowników, także Michała Zabłockiego, jedyne go członka rady, który chciał w ogóle słuchać jej argumentów i dopuszczał inne możliwości niż spółka z kapitałem zagranicznym. Główna księgowa szarpnęła ją za rękaw.

– Zrób coś! – syknęła.

Chcąc nie chcąc, Maria Petrycy znowu uniosła rękę. Dyrektor spojrzał na nią poirytowany. Jego zastępca zmarszczył brwi.

– Proszę uważać, co pani będzie mówić – mruknął, podając jej mikrofon za plecami siedzących przy stole osób. – Nagrywam przebieg całego zebrania.

– I bardzo dobrze – uśmiechnęła się Marysia. – Będzie was można potem rozliczyć z tych kłamstw!

Z mikrofonem w ręku wróciła na miejsce i rozejrzała się po sali. Na twarzach zgromadzonych widziała zaciekawienie, niektórzy nawet się uśmiechali. Być może przez ostatni tydzień Halinka zrobiła jednak dobrą robotę i zdołała przekonać jakąś część pracowników. Mówiła dziś rano, że ludzie dość chętnie jej słuchali i zadawali wiele pytań. Nie była jednak w stanie ocenić, na ile są gotowi podjąć ryzyko samodzielnej restrukturyzacji zakładu.

– Ja tylko chciałam uzupełnić wypowiedź pana dyrektora – zaczęła Marysia. – Wszystko, co powiedział, jest prawdą. Ale też w sytuacji, w jakiej się znajdujemy, nie powinniśmy czuć się jak ubodzy krewni. Przecież firma, z którą się zamierzamy wiązać, nie jest przedsiębiorstwem dobroczynnym. Francuzi także dokonali analizy rynku i muszą być pewni, że taka inwestycja się im opłaci.

– Oczywiście! To przecież jasne – huknął dyrektor i wyciągnął dłoń po mikrofon. Marysia jednak odsunęła się o pół kroku, po czym kontynuowała:

– Tym, co głównie przyciąga do Polski zagranicznych inwestorów, nie jest nadzieja na pozyskanie błyskotliwych specjalistów wszystkich branż do wykonywania projektów dla zagranicy. Nie, oni mają własnych specjalistów. Tym, na co

liczą, jest otwarcie się polskiego rynku! Chcą tu wejść, a dużo łatwiej jest to zrobić, gdy się ma w kraju punkt zaczepienia. My mielibyśmy być takim punktem.

Przez salę przeleciał szmer. Ludzie szeptali między sobą, wyraźnie podnieceni. To były te słowa, na które dziś czekali.

– Polski przemysł jest przestarzały, wymaga przebudowy i modernizacji. To właśnie będzie się dokonywać w najbliższych latach w tych zakładach, które nie zbankrutują. To tutaj będziemy szukać zleceń, nie za granicą. Nie my u nich, ale oni u nas będą pracować!

– Spółka Mercier Projets Industriels, jak słyszałem, zajmuje się nie tylko projektowaniem – odezwał się Zabłocki. – Produkuje też wielkogabarytowe konstrukcje stalowe, na bazie których wykonywane są potem ich projekty.

– Owszem. – Marysia znowu nie pozwoliła odebrać sobie mikrofonu i, mimo gwałtownych gestów dyrektora, sama udzieliła odpowiedzi. – Można zatem wnosić, że będzie im zależało na wprowadzeniu na nasz rynek własnej technologii.

– I co w tym złego?! – zakrzyknął dyrektor, podrywając się z miejsca.

– Ależ nic. Uważam wręcz, że współpraca z taką firmą byłaby dla nas bardzo cennym doświadczeniem.

– Współpraca! – podchwycił przytomnie Zabłocki. – Moglibyśmy z nimi współpracować jak równorzędni partnerzy!

Na sali huczało. Maria Petrycy uśmiechnęła się i już bez walki oddała mikrofon zastępcy dyrektora. Napięcie z niej opadło – osiągnęła swój cel, posiała wątpliwości.

– Współpraca tak! Ale nie przejęcie!

– Chcą po naszym trupie dostać się na polski rynek!

– Skoro to nasz przemysł wymaga modernizacji, to my powinniśmy ją przeprowadzić!

– Ależ ludzie, zlitujcie się! Do tego wszystkiego potrzebny jest kapitał! Kto w Polsce ma dziś pieniądze?

Na próżno wicedyrektor krzyczał do mikrofonu, usiłując zagłuszyć panujący wokół gwar i wprowadzić jakiś porządek. Letnia dotąd temperatura zebrania wreszcie się podniosła, ludzie zaczęli dyskutować, rozważać różne opcje. Halinka ścisnęła rękę Marysi tak mocno, że aż jej trzeszczały kości. Obie bez słowa przyglądały się temu, co się działo. Członkowie rady pracowniczej, Michał Zabłocki i Krystyna Rachwał, szefowa kadr, już całkiem otwarcie rozważali możliwość samodzielnego funkcjonowania firmy na rynku. Antek Janusz dyskutował o tym samym z kilkunastoma związkowcami, siedzącymi w pierwszych rzędach. Rozłam wśród załogi stał się faktem. Uchwalenie jednego wniosku do ministerstwa było już w tym momencie niemożliwe. Przeczucie klęski, z którym Maria Petrycy męczyła się od samego rana, zniknęło.

Nagle poczuła, że brak jej tchu.

– Przepraszam – wyszeptała, wyplątując palce z uścisku głównej księgowej i wstając chwiejnie. – Przepraszam, ale trochę mi słabo...

Niezbyt dokładnie zapamiętała to, co się działo potem. Ktoś ją podtrzymał, ktoś inny podał wodę. Wyprowadzono ją z sali konferencyjnej, wezwano taksówkę. Wprawdzie przy otwartym oknie w korytarzu dość szybko doszła do siebie, ale nie protestowała. Wiedziała, że musi oszczędzać energię, przeczuwała, że przed nią jeszcze wiele niespokojnych dni i nocy. Zanim opuściła biurowiec, ktoś jej szepnął, że dyrektor

odroczył zebranie o tydzień. Było pewne, że w tym czasie wiele się będzie w firmie działo.



Maksymilian Petrycy nie mógł się pozbyć lekkiego uczucia niepokoju. Sumienie go kęsało, obiecał bowiem Marysi, że wcześniej wróci dziś do domu i przygotuje obiad. Kiedy jednak około południa skończył przyjmować pacjentów, uznał, że zdąży jeszcze wstąpić do magistratu. Najbliższa sesja rady miasta miała się zacząć dopiero w piątek, jednak doktor – jako członek dwóch komisji, budżetowej oraz zdrowia – niemal każdego dnia bywał w pałacu Wielopolskich i zawsze miał tam coś do załatwienia. Zwłaszcza teraz, gdy zaangażował się w przygotowanie raportu o stanie zdrowia mieszkańców Krakowa i dostępności usług medycznych, który miał się stać podstawą do komunalizacji niektórych placówek.

Gdy o tym myślał, czuł dreszcz podniecenia. Pierwsze zmiany, dokonane w oświacie, wywołały w społeczeństwie entuzjazm. Dopiero od czterech tygodni pod skrzydłami gminy Kraków działały podstawówki, a już dochodziły liczne sygnały, że pracownicy liceów, techników i zawodówek nie mogą się doczekać chwili, gdy również ich szkoły zostaną przejęte przez miasto. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że będą zmiany i reorganizacja, ale ludzie poczuli, że mogą mieć na nie wpływ.

W następnej kolejności reformy miały objąć zawodowe poletko doktora. Czas był na to najwyższy, bowiem w służbie zdrowia już od dawna działo się fatalnie. Mówiło się o wprowadzeniu dopłat do leczenia, a personel niektórych szpitali

był nawet gotów dobrowolnie opodatkować własne pensje, by tylko utrzymać miejsca pracy<sup>1</sup>. Nie było łatwych rozwiązań, a jednak doktor nie tracił optymizmu. Wierzył w moc wspólnego działania, szczególnie teraz, gdy na wszystkich szczeblach zarządzania krajem ujawniały się zapał i kreatywność nowych ludzi.

Ciągle jeszcze najwięcej do zrobienia pozostało na samym dole. Nie wszędzie znaleźli się chętni, by „wziąć sprawy we własne ręce”. W roku 1991 powołano w Krakowie do istnienia dzielnice pomocnicze, ale tylko w części z nich udało się przeprowadzić wybory do rad<sup>2</sup>. Petrycy wierzył jednak, że z czasem będzie się to zmieniać i zaangażowanie mieszkańców wzrośnie. Wiedział z własnego doświadczenia, jaką satysfakcję daje praca na rzecz lokalnej społeczności. Choć nie robił tego za darmo, bo za swoją każdorazową obecność na posiedzeniach komisji i sesjach rady miasta pobierał dietę w wysokości osiemdziesięciu dwóch tysięcy złotych<sup>3</sup>, jednak uważał, że wynagrodzenie ma znaczenie drugorzędne. Największą nagrodą – przynajmniej dla niego – było oglądanie efektów swego działania. Oczywiście, miał przez to dużo mniej czasu na pracę zawodową. Zrezygnował z zajęć

---

<sup>1</sup> Tak się stało w Gliwickim Instytucie Onkologii, gdzie w marcu 1992 roku, jak podała „Gazeta Wyborcza”, „wszyscy pracownicy kliniki – od ordynatora do portiera – przekazali po 250 tys. zł na potrzeby chorych”. Przeciętne wynagrodzenie miesięczne wynosiło w 1992 roku prawie trzy miliony złotych.

<sup>2</sup> Z powodu braku kandydatów na radnych dzielnicowych w wielu miejscach w Krakowie trzeba było przesunąć wybory na kwiecień 1992 roku.

<sup>3</sup> Jedna dwudziesta średniej płacy z pięciu głównych działów gospodarki za udział w posiedzeniu jednej komisji, podobnie za udział w jednej sesji rady miasta (bez względu na to, ile dni trwa).

ze studentami i dyżurów w szpitalu, a planowana habilitacja przesuwiała się w coraz bardziej nieokreśloną i mglistą przyszłość. Cierpiała na tym także rodzina, musiał to przyznać sam przed sobą. Kryzys małżeński, jak się wydawało, został już wprawdzie zażegnany, ale nie dalej jak wczoraj okazało się, że z powodu nadmiaru obowiązków doktor zaniedbał także swoje dzieci.

Idąc spiesznie aleją Focha, Petrycy czuł wzrastający niepokój. Chcąc go zagłuszyć, igrał w myślach z pomysłem wygospodarowania w budżecie gminy środków na dofinansowanie wakacyjnych wyjazdów krakowskich uczniów. Miałoby to szczególne znaczenie dla rodzin gorzej sytuowanych, niezdolnych na własną rękę zapewnić swoim pociechom wypoczynku. Ale zorganizowanie kolonii przez szkoły pomogłoby także tym rodzicom, których sytuacja finansowa wprawdzie nie była zła, jednak natłok obowiązków utrudniał lub wręcz uniemożliwiał im zajęcie się tą sprawą. Takim jak choćby, dla przykładu, on.

Zwykle planowaniem wyjazdów Gabrysi i Franka zajmowała się jego żona. Kłopoty, jakie przeżywała w ciągu ostatnich miesięcy, spowodowały, że zupełnie o tym zapomniała.

– Macie wszystko gotowe do szkoły? – zapytała rutynowo w niedzielny wieczór i dopiero rehot obu pociech uświadomił rodzicom, że zaczynają się ferie.

Ślub Ani i jej planowany wyjazd do Stanów w jednej chwili przestały być zagadnieniem pierwszoplanowym. Maksymilian ze zmarszczonymi brwiami wpatrzył się w dwójkę młodszych dzieci, gorączkowo poszukując w myślach sposobu na zagospodarowanie im wolnego czasu.

– Co będziecie robić? – zapytała Marysia, sądząc z jej miny, pełna jak najgorszych przeczuć.

– Nic – brzmiała najbardziej złowróźbna ze wszystkich odpowiedzi.

Teraz doktor miał na własnej skórze doświadczyć, co znaczy pozostawić dzieci na pół dnia bez dozoru. Brodząc w topniejącym śniegu, pokonał kilkanaście koślawych płytek chodnikowych i wbiegł na schodki. Otworzył drzwi własnym kluczem, już od progu nasłuchując. Na piętrze panowała niepokojąca cisza, rzecz niespotykana w godzinach, w których dzieci przebywały w domu. Zanim jednak zdążył ściągnąć buty i wejść na górę, z mieszkania babci wynurzyła się Ania. Oczy miała dziwnie czerwone, a głos jakby zakatarzony.

– Odwiozłam ciocię na pociąg – powiedziała miękko. – Ma zadzwonić, jak już dojedzie do domu.

– Super – mruknął Maksymilian.

Wyjazd starszej pani nie rozczulił go. Były nawet momenty, że jej obecność w domu mocno go drażniła. Szczególnie wtedy, gdy – jak się mu wydawało – ciotka Pelagia stawiała na drodze jego porozumieniu z córką. Ania jednak przywiązała się do nowo poznanej krewnej, która być może w jakimś stopniu zastąpiła jej zmarłą półtora roku wcześniej babcię.

– Prosiła, żeby to wam przekazać – Ania wyciągnęła rękę i wręczyła mu wypchaną kopertę. – Nie chciałam wziąć, ale nalegała.

Maksymilian rozchylił papier i wpatrzył się w gruby plik różowych banknotów z podobizną królowej Elżbiety II. Na chwilę zapomniał o dzieciach.

– Cóż ona?! – zapytał z osłupieniem i niedowierzaniem. – Dlaczego?

– Mówi, że będziecie mieli teraz wydatki – powiedziała Ania. – Mnie zresztą także dała pieniądze.

Doktor przez chwilę stał niezdecydowany, nie wiedząc, co zrobić z kopertą. Wreszcie potrząsnął głową, jakby odpędzając jakieś nieprzyjemne wspomnienia, i schował pieniądze do kieszeni marynarki.

– Cóż, skoro tak się chciała zrewanżować za gościnę... – stwierdził, znowu wracając myślami na piętro. – Trzeba jej będzie podziękować.

– Tato?

Zatrzymał się na pierwszych stopniach schodów, odwrócił i spojrzał na Anię.

– Nie przestrasz się, jak wejdiesz na górę! – ostrzegła go córka.



Gdy dwie godziny później Marysia wkroczyła do kuchni, Maksymilian zbliżał się właśnie do kresu heroicznej walki o doprowadzenie mieszkania do porządku. Ostrzeżenie Ani okazało się bardzo na miejscu – gdyby nie ona, na widok rozwleczonych w okolicy łazienki zakrwawionych ciuchów dostałby chyba zawału.

– Spokojnie, to tylko sok wiśniowy! – zawołała z dołu najstarsza córka, a potem założyła szybko kurtkę i buty. – Idę na uczelnię!

Drzwi trzasnęły i tyle ją doktor widział. Jego grzmiącym okrzykiem, wzywającym do raportu młodsze dzieci, odpowiedziała tylko cisza. Gabrysi i Franka nie było w domu, co zdenerwowany ojciec sprawdził w końcu osobiście, zaglądając do wszystkich pokoi. Na każdym kroku widniały natomiast ślady ich wcześniejszej działalności.

Początkowo Maksymilian chciał poczekać na powrót winowajców. Wziął nawet do ręki jeden z medycznych periodyków i rozsiadł się w fotelu. Jednak przebywanie w tej stajni Augiasza, nawet za zamkniętymi drzwiami gabinetu, stanowiło dla niego prawdziwą torturę. Nie chciał też denerwować żony, która miała sporo napięć w pracy, a po powrocie czułaby się zapewne zobowiązana do posprzątania całego bałaganu. Ponieważ pomagająca im w porządkach pani nadal leczyła złamaną rękę – o czym przypomniał sobie, dopiero wybierając jej numeru telefonu – po kwadransie wewnętrznej szamotaniny Petrycy odłożył czasopismo, zakasał rękawy i wziął się sam do roboty.

Pracę urozmaicał sobie, bawiąc się w detektywa. Odtwarzał w wyobraźni ciąg zdarzeń, które się tu rozegrały i doprowadziły do powstania takiego pobjowiska. Stwierdził, że przynajmniej jedno z dzieci podjęło próbę ugotowania obiadu. Znając dobrze obie swoje pociechy, był przekonany, że inicjatorką musiała być Gabrysia. A jednak Franek pomagał siostrze – to jego podkoszulek, bluza oraz spodnie od dresu leżały w przedpokoju, obficie zalane wiśniowym syropem. Dlaczego nie mógł wejść do łazienki, by tam zostawić zabrudzone ubranie? Otóż jego siostra-artystka szykowała się zapewne do wyjścia z domu i robiła

się na bóstwo – świadczyły o tym porozkładane wszędzie kosmetyki, jak również zatykający toaletę wielki kłęb różnokolorowych wacików. Znaczyło to, że czternastolatka wypróbowała różne wersje makijażu.

Ślady w kuchni były już dużo trudniejsze do przypisania konkretnym osobom. Cały blat roboczy, stół, zlewozmywak i Kuchenka zastawione były naczyniami, oczywiście brudnymi. W trzech największych misach oraz małej miednicy widniały rozmoczone ślady ciasta drożdżowego. Oklejona mąką stolnica stała oparta o lodówkę. Na podłodze obok rozciągała się kałuża mleka, koło kosza leżały rzucone niedbale skorupki jajek. Kilka litrowych słoików wypełniała jakaś bura substancja, w której doktor dopiero po degustacji domyślił się rozgotowanego na papkę barszczu ukraińskiego. Zapewne do przelania zupy zabrakło już czystych garnków. Natomiast wszystkie tace, jakie były w domu, pokrywały całkiem kształtne, choć zupełnie zimne kulki z ciasta – drożdżowe kluski ugotowane na parze. Rozglądając się po kuchni, Maksymilian stwierdził, że jedynym sprzętem, którego dziś dzieci nie używały, był nowy ekspres do kawy. Wszystko inne wymagało umycia, oskrobania lub przynajmniej starcia.

Petrycy, mający już za sobą sprzątanie przedpokoju i łazienki, westchnął ciężko, przegryzł kluską, po czym ruszył do walki z wszechogarniającym kuchennym chaosem. I gdy w wyobraźni widział już koniec swej harówki, szorując na kolanach podłogę z resztek przyschniętej mąki i ciasta, zahaczył nagle wzrokiem o piekarnik. Zamarł ze szmatą w dłoni, nie wierząc własnym oczom. Stara już, ale zawsze dotąd przejrzysta szybka z termostatem pokryta była czarną substancją,

która przedostała się nawet przez uszczelkę i zastygła na zewnątrz niczym wykwit jakiegoś egzotycznego grzyba. Szarpnęła za uchwyt, ale drzwi piekarnika nawet nie drgnęły. Doktor zaparł się więc nogą, wyteżył siły... I wtedy do kuchni weszła Marysia.

– Ty to mnie potrafisz zaskoczyć! Prosiłam, żebyś ugotował obiad, ale...

Nie dokończyła, gdyż w tej chwili piekarnik ustąpił z trzaskiem, ukazując oczom obojga małżonków swoje wnętrze – pełne lekko po bokach przypalonego, w zasadniczej swojej części jednak nadal smakowitego, świetnie wyrośniętego drożdżowego placka z wiśniami. To, co wykypiało, spłynęło po ściankach i drzwiach na dno, tworząc tam poczerniały, iście wulkaniczny krajobraz.

– Cud, że się to wszystko nie zapaliło od płomienia gazowego – wyszeptał Petrycy, siadając ciężko na podłodze.

– Nie przejmuj się – żona pieszczotliwie pogładziła go po włosach. – I tak jesteś wielki! Naprawdę, do głowy by mi nie przyszło, że tak się postarasz!

– To nie ja – przyznał niechętnie. – To dzieci. Ja po nich tylko sprzątam.

– Dzieci? – zdziwiła się. Nalewając wody do czajnika, potoczyła wzrokiem po doprowadzonej do połysku kuchni, zatrzymując go na stojącym na blacie imponującym obiedzie. Wokół rozchodził się wspaniały zapach ciasta.

Maksymilian tylko kiwnął głową. Nie miał siły nawet na rozmowę, a sama myśl, że będzie musiał jeszcze oskrobywać i szorować piekarnik, przyprawiała go o łzy. Marysia rozejrzała się raz jeszcze i wreszcie zrozumiała sytuację.

– Czas na herbatę! – Zdecydowanym gestem wyszarpnęła blachę ze zwęglonych czeluści i przy pomocy stopy z trzaskiem zamknęła drzwiczki. – Tym się zajmiemy później. Teraz mam ci dużo do opowiedzenia!

Oczy jej błyszczały, kąciaki ust same się unosiły. Maksymilian odłożył szmatę i z ulgą zasiadł przy stole. Odruchowo zerknął na zegarek – dochodziła szósta. Nie chciał psuć nastroju, dlatego ani słowem nie wspomniał żonie o tym, co go martwiło już od pewnego czasu. W koszu na śmieci, obok torebek po mące i cukrze, znalazł w czasie sprzątanía dwukilogramowe opakowanie po saletrze potasowej. To odkrycie i przedłużająca się nieobecność dzieci zatruwały mu spokój dużo bardziej niż przypalony piekarnik.



Gabrysia wróciła kilka minut po dziewiętnastej, a zaraz po niej nadciągnął Franek. Ich wejście przeszło jednak niezauważone. A to za sprawą ciotki Pelagii, która wprawdzie opuściła dziś rano dom Petrycych, jednak – nawet pod nieobecność – nadal potrafiła namieszać.

Małżonkowie zjedli po kilka kawałków placka, wypili litr herbaty i przenieśli się w końcu z kuchni na sofę do dużego pokoju. Omawianie wypadków, które zaszły na zebraniu w biurze Marysi, bez reszty ich pochłonęło. Potem zaś zajęły się zupełnie zaskakującym gestem starszej pani.

– Aż mi ciarki przeleciały po plecach, jak zobaczyłem te dewizy. Wszystko mi się przypomniało! – wyzalił się doktor,